



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 8 (10 nowy).

Co mogą dwa biedne serduszka.

Na skalistém i stromém wybrzeżu hiszpańskiem, wysoko nad poziom morza wzniesioném, i gdzie niegdzie krzakiem aloesu obrosłém, rozsiadł się starożytny dworzec szlachecki, niski, o grubych murach, płaskim dachu, kilku zaledwie małych okienkach, otoczony jak stara nieraz zdobywana forteca szczątkami potężnych murów, z kilkoma laurami, mirtami, dwoma pomarańczami w jednym rogu dziedzińczyka wewnątrz tych murów, i z jedną palmą strzelającą z pośrodku jego wysoko w niebiosa, po nad dach stariej siedziby hidalgów. U stóp tój siedziby jednakże, przystęp od morza łatwy był i bezpieczny na szczupłą lecz dostępną przestrzeń wybrzeża, z którego dopiero prawie prostopadle wznosiła się owa skała potężna, właściwe wybrzeże stanowiąca. Białe mury na szczycie jój błyszczące z daleka w blaskach promienistego słońca, wysunięte ku morzu, niby przednia straż hiszpańskiej ziemi z tój strony, znane były wszystkim licznie przepływającym tamtędy okrętom. Nie jeden z nich skołatany burzą lub zbłąkany, o długiej podróży witał je okrzykiem radości, choć niższych brzegów nie widział jeszcze:

— To „domek szlachcica” błyszczy na tle niebios! jesteście ocaleni!

Ów „szlachcic” tymczasem, pan starego dworca, i małego kawałka otaczającej go ziemi, na którym sadił najkonieczniejsze warzywa, miał dziwny zwyczaj, siadywać sobie w wolnych chwilach w urządzonym ku temu bardzo pierwotnie, pewnym rodzaju altanki, przyklepionej do komina na dachu dworca.



Na skalistém wybrzeżu hiszpańskiem ..

Poszerzało to trochę komin, ale z daleka wcale nie odróżniało się odeń nawet. Szlachcic nazywał to swoim kioskiem, belwederem, obserwatorium, a nawet swoim „memoriałem” ponieważ wszedłszy tam i spojrzawszy po morskich przestrzeniach, i po odległych rysujących się na tle niebios pasmach gór hiszpańskich, odnajdywał tak, jakby na nich zapisane były, wszystkie szczegóły wytrwałych wojen, do jakich on sam przez długie lata należał czynnie, dopóki posiadał jeszcze własną lewą nogę, która na pobojujowisku jakimś została, i dopóki nie przyniósł z tamąd do domu niepotrzebnego gościa, w postaci kulki w ramieniu, dokuczającej mu od czasu do czasu porządnie.

Stary wojak kaleka stał się na starość rolnikiem, sadząc i siejąc co tylko chciało wzrosnąć, aby wyżywić dwie córki, dwóch pomagających mu wiarusów, starą żonę jednego z nich a niankę swych córek, psa, krowę, osła, i siebie! Czworo ludzi starych pracowało zapalczywie, ale dwie młode dziewczyny napróżno prosiły także o udział w pracy; nie dano im ani dotknąć się żadnej roboty, z obawy aby nie zgrubiały im rączki, albo twarzyczki się nie opaliły, albo zdrowie nie ucierpiało z wysilenia. Nieraz dostały dobrą burę nie tylko od ojca, ale nawet i od trojga sług jego, którzy wychowali dziewczynki wspólnie z ich ojcem:

— Co? co to jest? panna Elwira chce izby zamiatać? może i sadze w kominie zechce jeszcze wycierać, jakby nas tutaj od roboty nie było! A fe! a wstyd! a to mi śliczna panienska!... — tak krzyczała stara Magdalena w najwyższym oburzeniu na swoją wychowankę, gdy ta chciała zabrać się do porządków domowych. A mąż Magdaleny schwytawszy znów pannę Rozę ze skopkiem w rękę w oborze dojącą krówkę, podniósł taki lament, taki wrzask pełen grozy, że wszyscy współmieszkańcy domku zbiegli się do obory przerażeni, nie wiedząc co się stało? i byli świadkami rumieńców zawstydzonej Rozy, gdy stary krzyczał w uniesieniu gniewu na córkę swego zwierzchnika i pana, jakby na własną:

— To tak panna Roza robi? takich pozwala sobie nadużyć gdy ją z oka spuścić? A więc dobrze! zdam raport komendantowi i pójdzie panna do aresztu! rozumie panna! proszę spojrzeć na ręce! o to piękne rączki! może garnki szorować, może kartofle obierać jeszcze będziemy? co? he? A to mi panienska! mnie wstyd jest służyć u takiej panienski! ja się do dymisy podam! A swoich obowiązków pilnować ha!

Rozumie się, że dziewczątka czerwieniąc się, śmiały się serdecznie w odpowiedzi na takie gniewy z kochania poczytych starych sług pochodzące. Musiały jednak słuchać, bo ojciec także się gniewał, i do pilnowania własnych obowiązków je zapędzał. Obowiązki te zaś, było to śpiewanie ślicznych starych piosenek hiszpańskich przy dźwięku mandoliny, oraz tańczenie kaczucy i fandango, co wszystko zachwycało starych mieszkańców domku szlacheckiego. Trudno było jednakże zawsze grać, śpiewać i tańczyć. Zajęcia umysłowego nie było, bo dziewczątka żadnej nauki nie posiadały, jak w ogóle wszyscy mieszkańcy ubogich tamtejszych wybrzeży. Wkrótce więc, dziewczynki przestawszy być dziećmi, wyznały jedna przed drugą pocichu, aby ojca nie zmartwić, że nudno im było bardzo.

— Bo gdyby to można tak wszystko robić jak staruszka Magdalena, toby było zabawniej — powiedziała Roza.

— Albo gdyby można ziemię kopać, sadzić i siać jak ojciec! — dodała Elwira — ale jak tylko grać i śpiewać i tań-

czyć mamy, to my tu zanudzimy się na tej skale pod niebem. Ach!... patrz, Rozo, cóż to fala wyrzuciła tam nisko na piasek, to znowu szczątka jakieś!

— Szczątka okrętu! o Boże, to znowu okręt jakiś zmylił drogę w nocy tej ciemnej i rozbił się o tamte skały. Wielki Boże ratuj nieszczęśliwych! Któryż to już okręt rozbija się w tym roku! — Dobre dziewczątka o tkliwych wypieszczonych przez ojca serduszkach, rozplakały się na myśl o nieszczęśliwych rozbitkach. Wtém Roza nagle zawoła:

— Elwiro! a czyby nie można latarni płonącej utrzymać tu u nas gdzie wysoko, aby okręty w ciemne noce wiedziały gdzie się kierować należy?

— Trzeba koniecznie utrzymywać latarnię, a najlepiej w ojca memoriale czy tam belwederze u komina! — krzyknęła Elwira — tylko trzeba nam mądrze brać się do rzeczy, aby nikt o tém nie wiedział, boby nam i tego nie pozwolili, tylko sami utrzymywaliby latarnię. Ojciec w nocy tam nie chodzi.

I zrobiły dziewczątka tak, jak umyśliły. Wprawdzie dużo to kosztowało trudów, bo trzeba było niby na wstążki dostawszy od ojca parę groszy, zebrać je i kupić latarnię, co skutecznie skrycie byłoby niepodobna; aż po namyśle, dziewczynki same sporządziły latarnię niezgrabną, brzydką, ale bezpieczną i dostatecznie dużą, zużywwszy mnóstwo najrozmaitszych kawałeczków szkła potłuczonego, które morze kiedyś wraz z paką wyrzuciło. Gdy latarnia już stanęła, trzeba było znów tysiącznych używać wybiegów, aby zdobywać sporą ilość tłuszczu, jaką ona spotrzebowywała. Ale tymczasem nuda znikła, i serduszka dziewczątek były radośnie na myśl, że może też przyda się okrętom ta latarnia, z tak ciężką pracą zrobiona. A co potem było kłopotu, aby ogromną tę maszynę na strychu ukrytą trzymać, i równo ze zmierzchem wymykać się dla jej zapalenia, to już długą powieść możnaby o tych trudach dziewczynek napisać, dosyć jednakże, że wszystko udawało im się przez czas długi, dzięki temu mianowicie, że starzy ich opiekunowie pracowali ciężko po całych dniach, a nocami spali twardo, pozostawiając dziewczętom trochę swobody. Odkąd zaś paliła się latarnia, one co rano zrywały się najpierwsze i biegły ukryć ją, a potem z mocno bijącymi serduszkami bacznie przyglądały się morzu, czy szczątków okrętu nie widać? i nie widać ich było istotnie. Ale w tém raz stała się rzecz nadzwyczajna: kilku panów obcych pojawiło się nagle w domku szlacheckim, wdarłszy się doń z trudem, a był to gubernator najbliższego miasta, i kapitan okrętu, który świeżo uniknął rozbicia, kierując się ku zbawiennemu światłu, jakie mu wśród ciemności zabłysło, oprócz nich było kilku urzędników i podróżnych z tegoż statku. Stary wojak prędko wdziawszy mundur wystąpił na ich przyjęcie, zdumiony odwiedzinami. Lecz zdumiał się jeszcze bardziej, gdy zaczęto go ścisnąć i dziękować i w imieniu wielu innych okrętów ocalonych i za własne uratowane życie:

— Ty sam ubogi człowiek jesteś i mimo to potrafisz takie dobrodziejstwo ludziom świadczyć na jakie nas nie stać było! to nas zawstydzia i rozczula razem! — wołał przedstawiciel władzy krajowej.

Biedny hidalgo długo słuchał zdziwiony, usta otwierał i zamykał nim przemówił, a potem jeszcze dłuższy czas upływał, nim nastąpiło zupełne wyjaśnienie. Stanęło na tém, że panowie zostali na noc w domku szlacheckim, aby wyjaśnić niepojętą zagadkę, jakim sposobem może płonąć latarnia któ-

rój niema? Zostali więc, śledzili wraz ze starym hidalgim, i... wysledzili Rożę i Elwirę.

Było śmiechu i łez rozczulenia, co niemiara, podziękowań, i ojcowskich i zapłakaną Magdaleny uścisków. A potem uśmiewszy się z dziwnej machiny, jaką zbudować potrafiły dziewczynki, miasto najbliższe złożyło się i sprawiło ogromną latarnię zrobioną jak się należy, i dziewczynkom córkom hidalgia zaniósł ją deputacya miejska, powierzając im dalsze utrzymywanie światła dla ratunku okrętów.

Starą latarnię deputacya zabrała z sobą i umieściła ją w miejskim ratuszu na pamiątkę tego co zrobić mogą dwa ubogie serduszka dziewczęce.

ŻNIWO.

Mkną po polu sierpy, kosy,
Upadają złote kłosy;
Z nich powstają snopki, snopy,
Dalej mendle, potem kopy.
Kare konie, siwe woły,
Zwożą zboże do stodoły;
Ruch i życie wre dokoła,
Rozlega się pieśń wesola,
Bo choć czoło pot oblewa,
Przy robocie żniwiarz śpiewa,
Za zbiór nowy Boga chwali;
Śpiew się mięsza z szczękiem stali...
Wciąż posuwa się robota,
A u stodół wszystkie wrota
Odemknięte; śpichrz na przedzie.
Wóz za wozem ciągle jedzie,
Tu się kręcą starzy, dzieci,
Tu przy wozie pies znów leci,
A na rżysku, przez zagony,
Pędzi zając wystraszony.
Ptaszek śpiewa a wśród żyta
Przepióreczka co tam skryta,
„Pójdźcie, pójdźcie żąć” zawoła,
I znów słychać turkot koła.
Jeżdżą, chodzą, w lewo, w prawo,
I robota idzie żwawo,
Wiatr rozpędza szare chmury,
A słoneczko świeci z góry;
I tak cały dzieńek Boży,
Nim się ono spać położy,
Lud pracuje w czoła poście;
Dopomaga Bóg w robocie,
Nie zabraknie temu chleba,
Kto pracuje, jak potrzeba!

Helena Bojarska.

DORCIA,

powieść przez Maryą Świdorską.

(Dalszy ciąg).

— Braciszku mój serdeczny! — zaczęła potem — przeto ty do mnie! Co to się stało? powiedz, nie bój się; ja wiem, żeś ty nic złego nie chciał zrobić; mów, najdroższy mój — i tuliła głowę jego do siebie.

— Zbili mnie i zamknęli — przerywanym głosem mówił chłopczyca — zbili za to, żeś prawdę mówił... nie zbliżam się do pańskiego pokoju... niech ich Pan Bóg skarże!... Zamknęła ręką usta bratu Dosia:

— Tak nie mów, niech Bóg broni! to grzech. Ale co to się stało, z kąd ten guzik się tam znalazł, mój biedny chłopczyco? ja wiem, że ty nie kłamiesz.

Rozrzewniony chłopak teraz dopiero zmiękł i z wielkim płaczem i łkaniem, rzucając się na szyję siostrze, zaczął opowiadać, jak mu panicz dokucza, jak go na złe namawia, jak mu kiedyś kazał wykraść tytoniu z pudelka u pana, a gdy on nie chciał tego uczynić, bił go i kopał nogami. „Nie chcesz mnie słuchać, mówił: popamiętasz ty to!” i pewnie teraz coś zrobił żeby tę biedę sprowadzić.

— Ja jego nie cierpię — mówił Stefanek — jabym go tak zbił, jak mnie dziś bili; on kłamca, niepocziwy, ja ztąd ucieknę!

— To prawda — mówiła Dosia — on bardzo niedobry, ale mój Stefaneczku, dziecko moje; wycierp ty jeszcze trochę, znies tę biedę, a już ja co wymyślę, żeby ciebie gdzie wyprowadzić. Ty się musisz uczyć, musisz żyć między dobrymi ludźmi, żebyś sam był dobry i roztropny. Pan Bóg nas sierot nie opuści i teraz Pan Bóg wie, żeś ty niewinny, mój braciszku, bo On wszystko widzi.

I mówiła mu długo o Bogu, o matysi i ojcu, o różnych ludziach, co to ich niesłusznie posądzano, a potem ich niewinność na jaw wyszła i zostali pocieszeni. Chłopczyk uspokojony nabrał stuchy, a kiedy siostra porzuciła go musiała, przyrzekł, że będzie cierpliwie znosił swoje utrapienie, niktogo nie przeklinając, a da Bóg to się wszystko na lepsze zmieni.

Wkrótce potem, coś podobno na trzeci dzień więzienia Stefanka, Mundzio, chcąc dokuczyć siostrze, zabrał jej scyzoryk, a który się długo sprzeczali; nic nie pomogło wdanie się panny Pichon i dopiero przy stole, korzystając z nieuwagi brata, Melcia zatopiła rękę w jego kieszeni i — już miała wyciągnąć ów nieszczęsnny scyzoryk, gdy ją pochwycił Mundek; rozpoczęła się walka między miluchnem rodzeństwem, nie zważającem na: „Fi donc! Quelle horreur!” ze strony panny Pichon, oraz nawoływania matki. Wreszcie z hałasem urwała się kieszeń i na ziemię potoczył się scyzoryk w towarzystwie zgniecionego papierosa, karmelka i... dwóch guzików, zupełnie podobnych do tego, który miał świadczyć o winie Stefanka. Rozłoszczonemu Mundziowi, który się na dobre rzucił na siostrę, kazał ojciec odejść natychmiast od stołu, a powiedział to tak stanowczo i groźnie, on, co się rzadko odzywał w podobnych sprawach, że chłopiec milcząc wysunął się z pokoju w chwili właśnie niestety! gdy do sali wnoszono ulubioną jego leguminę, ciastka z kremem.

— Szkaradny chłopiec! — powtarzała zaperzona Melcia, ogłędając podrapaną aż do krwi rękę. — A co to nosi po kieszeniach! Widzi papa — papierosy i o! guziczki takie, jak ten, co się w papy pokoju znalazł!

— Pokaż! — rozkazał ojciec i bacznie obejrawszy guziki, nachmurzył się widocznie.

Po obiedzie Mundzio został wezwany do pokoju ojca. Co tam zaszło, niewiadomo, ale podsłuchująca według pięknego zwyczaju swego Melcia, utrzymywała, że słyszeć się dawało coś, jak gdyby trzepanie odzienia! Próżno pani Malicka stuknęła do drzwi, nie otworzyły się; w godzinę dopiero wypadł ztamtąd Mundzio zapłakany i skonfundowany, jak nigdy w życiu.

— Przyprowadź tu zaraz Stefanka! — rozkazał pan Malicki służącemu — a ty, pamiętaj! — dodał, zwracając się do Mundzia — jak mi go natychmiast nie przeprosisz w obec wszystkich, to pójdiesz na chleb i wodę do tej samej drwalni.

Zanosił się od placu chłopiec, a pani Malicka wystraszona zwróciła się do męża:

— Au nom du ciel! Co ty myślisz robić? Nasz syn ma przepraszać tego... tego... *ce rustre!* To być nie może...

— Nasz syn skłamał i pozwolił niesłusznie ukarać niewinnego chłopaka; to większy wstyd, stokroć większy, niż przeprosić choćby wszystkich chłopców ze wsi całej.

W tej chwili nadbiegła nie wiedząca o niczym Dosia, a jednocześnie wprowadzono małego więźnia, bladego i zdziwionego sceną, jaką widział przed sobą. Zrozumiawszy o co

rzecz idzie, zbliżyła się Dorotka i całując pana w rękę ozwała się:

— Niech pan wielmożny daruje, że się mieszam do tego, ale może mi wolno będzie słówko przemówić. Stefanek już się pewno naprzykrzył paniczowi; na kozaczka niezdatny, a zresztą na nic się pewno we dworze nie przyda. Jeżeli państwo wielmożni pozwolą, to on pójdzie do jednego uczciwego gospodarza w tój wsi, co sam dzieci niema i chętnieby się zajął sierotą. Niech państwo darują, że śmiem się odzywać.

— Niech idzie precz, i owszem, i owszem — podchwyciła szybko pani — od kiedy te dzieci tu są, to ciągle tylko zmartwienie i kłopot: niech idzie! On na kozaczka nie zdolny, na panicza prędzój, ruszajcie i owszem.

Mundzio tymczasem, za plecami ojca ukryty, ukazał Stefanowi język w towarzystwie dwóch zręcznie złożonych choć nie świadczących o dobrém jego wychowaniu, fig.

— Dobrze — odezwał się pan — niech idzie Stefanek do Pasaluka, bo o nim to zapewne mówisz, Dorotko. Tam się pewno czegoś lepszego nauczy, niż tu we dworze i przyzwyczai się do uczciwej pracy; ja mu dam na oporządzenie i co roku dawać będę co potrzeba.

Dosia całowała rękę pana, dziękując za wszystko, zbliżyła się też do pani, która jednak z gniewem się odwróciła i wyszła, prowadząc Mundzia za sobą, żeby uniknąć owych groźących mu przeprosin.

Od tój chwili Stefanek został umieszczony u dobrego gospodarza, z którym się poznała była Dosia, nosząc mu od panny Michaliny lekarstwa, gdy był ciężko chory. On i żona jego Ewa zajęli się serdecznie chłopczyną a 20 rubli, które pan dał na oporządzenie go, schowali dla sieroty na później. Stefanek wdzięczne miał serce i wprędce przywiązał się do swoich opiekunów, którym, jak mógł, dopomagał w pracy około roli i ogrodu; ale najchętniej lubił robić około drzew i ogrodowizny rozmaitej. Dosia przybiegała często go odwiedzać, czasem też panna Michalina kazała mu do siebie przychodzić i zwolna chłopak poduczył się czytać, a na tabliczce wcale nieźle litery kreślił.

Tak upłynął znowu rok cały. Dosia miała już lat piętnaście: zmieniła się od czasu, gdyśmy ją raz pierwszy ujrzeli z dzbaneczką wody dla chorej matki. Wyrosła dużo i wyszczuplała, rysy jej wydelikatniały, twarzyczkę, nie można powiedzieć ładną, ale dziwnie miłą i roztropną, zdobyły duże, ciemne, poważnie i słodko na świat patrzące oczy; główkę kształtną otaczały bujne i starannie uczesane warkocze, zręczną figurkę obcisłał gorsecik czarny, na białej, cienkiej koszulce z krezeczką i sznurem koralu u szyi, a na fałdzistej, szafirowej spódniczce jaśniał jak śnieg biały fartuszek. Właśnie przynosiła ukochanej swój, zawsze słabiej pani czekoladę na tacy, gdy ta, pogłaskawszy głowę dziewczęcia, ozwała się:

— Czy wiesz, moja Dorciu, że mi przyjdzie porzucić ciebie i to wkrótce.

Dziewczynka utkwiała zdziwiona i przerażona wzrok w jej opiekunce, zdając się pytać trwożnie, co się stać mogło?

— Tak, moje dziecko; muszę jechać do wód leczniczych i bardzo źle mi będzie bez ciebie, ale że moja bratowa bierze swoją pannę, więc muszę cię zostawić w Poradowie.

Oczy Dorci napełniły się łzami:

— Któż tam pani będzie doglądał, kto posłuży serdecznie tak, jak jabym chciała, choć może nie potrafię zawsze.

— Nikt mi tak nie dogodzi, jak moja poczciwa Dorcia — ozwała się panna Michalina — a przytém cieszyłabym się, gdybyś trochę świata zobaczyła, dziecko moje dobre; to też bardzo mi przykro, że z tego nic być nie może.

— Niech tylko pani wraca zdrowsza i silniejsza, to się wszystko jakoś zniesie! — zawołało dziewczę, siląc się na wesołość w miarę, jak widziała smutne wzruszenie na twarzy panny Michaliny, której myśli nieledwie odgadywać się nauczyła — ja tu pani pokoiki ślicznie odświeżę i kwiatki będę pielęgnować i synogarliczki karmić, żeby za panią nie tęskniły i wszystko opowieć doskonale pannie Honoracie, co i jak pani lubi, żeby wiedziała, jak dogodzić albo ulżyć... — i we-

stchnęła wspomniawszy na gderliwość i zgryźliwe usposobienie garderobiany.

We dwa tygodnie potem ruch wielki zapanował we dworze: wynoszono kufry i paczki, rzeczy w nieładzie rozrzucone znajdowały się na różnych niewłaściwych miejscach, służby biegali, potracając się nawzajem, wreszcie zajechała przeganeł kareta, do której wsiadła pani Malicka i wsadzono biędną pannę Michalinę, umęczoną temi przygotowaniem; Dosia całowała jej ręce ze łzami, układając jak najwygodnie bolące nogi swój ukochanej pani; Melcia tymczasem, zarzucając ramię na szyję matce, przypominała pocichu śliczną różową sukienkę, która z zagranicy miała być przywieziona; a Mundek podsuwał paczkę z ciastkami na miejsce, gdzie chwilę usiadła zdyszana i zirytowana panna Honorata, zrywając się naturalnie ze strachem, gdy usłyszała chrupot gniecionych jej kościstą postacią przysmaczków podróżnych. Znowu lament, wymówka od pani za nieuwagę panny Honoraty i wyrzucenie nieużytecznych już ciastek z karety.

— Jedźcie już, na miłość Boga, bo się na kolęj spóźnicie! — zawołał pan; stary Maciej zaciął konie i powóz potoczył się po żwirowanej drodze.

(D. c. n.)

KUKUŁKA.

Niedawno opowiadaliśmy czytelnikom o kukułce, która do cudzych gniazd się zakrada i składa w nich swoje jaja. Dzisiejszy rysunek przedstawia znów kukułkę pochwyconą nauczynku przez inne ptaszki, które gwałtownym krzykiem wyrażają swoje oburzenie, straszą piórka i groźnemi spojrzaniem starają się ją odpędzić. Na nic się to jednak nie przyda jeżeli jajko już umieszczone w gnieździe, prawi jego właściciele wychowają przybrane pisklą najtroskliwiej, ze szkoda własnych dzieci, a gdyby nawet ptakom udało się przed wrzuceniem jaja kukułkę odpędzić, znajdzie ona z pewnością inne gniazdo. Wszystko jej jedno, czy natrafi na pliszkę, na małą kolągwę, lub inną ptaszynę, wie, że każda lepsza będzie matką od niej dla biednej, opuszczonej sierotki.

KSIĘGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

Około połowy czwartego wieku przed Chryst., pięknym, jasnym rankiem, pod szafirowym niebem, w mieście Eginie odbywał się targ jeszcze wrzawliwszy, jeżeli to być mogło, niż zwykle bywał w tój handlowej i bogatej stolicy wyspy tegoż nazwiska, jednej ze Sporad.

Wyspa Egina, słynna urodzajnością, migdałami zwłaszcza wśród innych płodów, ważne w starożytności zajmowała stanowisko. Miasto Egina posiada wyborny port. Niedyszące w Onosce, prowadziło znakomity handel i potężną posiadała flotę. Jedną zaś z najważniejszych gałęzi handlu w owych czasach stanowili niewolnicy. To też i ten wyjątkowo wrzawliwy targ owego poranku w Eginie dla tego właśnie takim gwarem się odznaczał, że był to targ na niewolników, tylko co dostawionych z Sycylii.

Na wspaniałym rynku Eginy, na wyniosłej platformie, stał sprzedający, wykrzykując cenę, zachwalając towar i przedstawiając go tłumom licytujących nabywców, tłoczących się naokoło platformy.

— Młodzieniec imieniem Astaros! piękny, zdrów i silny! lat dwadzieścia, zębów trzydzieści dwa! i t. d. — krzyczał sprzedający, wprowadzwszy do siebie na platformę towar przedstawiany i okazując go, jak dziś handlarze okazują zwierzęta i kończąc po wymienieniu ceny, wyrazami:

— Kto da więcej?... — kupujący tłoczyli się do oglądania, podając cenę na wysiggi.

Po za platformą, poniżej, stali gromadą inni niewolnicy,



Kukułka (str. 228).

mający być sprzedawani z kolei, pod silną strażą. Gwar, i sprzeczki pomiędzy kupującymi, napełniały rynek.

Wtém z jednej z bocznych ulic wszedł na rynek człowiek nie należący do tój kupieckiej rzeszy. Szedł swobodnie, przypatrując się niedbale, jakby tylko przechadzał się, nie mając nic lepszego do czynienia. Zbliżywszy się jednakże do gromady niewolników wystawionych na sprzedaż, stanął jak piorunem rażony, wpatrując się w jednego z nich, który nie widział go wcale wzajem, gdyż ze smutném zajęciem, prawie z litością na twarzy przypatrywał się ruchliwej scenie sprzedaży, w której sam miał czynnie uczestniczyć za chwilę.

Gdy przechodził patrzył na niewolnika, osłupiał z podziwu, tymczasem inny niewolnik stojący tuż przy nim, ale nie spostrzeżony przez niego, dotknął jego szaty, mówiąc z jękiem:

— Ach, zacy Aunikersie! i ty tu jesteś! to dobrze, że choć jeden człowiek przyjazny widzi i powie w ojczyźnie naszą, co się stało z panem moim! — mówiąc tak, patrzył mówiący na tegoż samego współtowarzysza swój niedoli, na którego i przechodzień patrzył ze zdumieniem:

— Na mądrość Minerwy! — krzyknął Aunikers — tyżes to

wierny sługo! powiedzże mi jakim sposobem pan twój, szlachetny Platon, może być sprzedawanym jako niewolnik?

— Jak? — odpowie sługa z goryczą — ponieważ całe swe życie Platon przeciw niewolnictwu powstaje, przeto uczyniono go niewolnikiem. Dyonizyusz to, tyrau Syrakuzy, gdyśmy w Sycylii gościli, rozgniewał się na niego za to, iż śmiało i głośno, jak zawsze, wypowiadał przekonania swoje o swobodzie, należącej się ludziom. Chciał Dyonizyusz życie odjąć panu memu, widząc jak on się ze mną dobrze obchodzi; i dowiedziawszy się, że darował mi dawno wolność; mówił tyrau Dyonizyusz, że Platon zły przykład daje. Zaledwo Dyon, szwagier tyrana obronił mógł pana mego od śmierci, ale za to nie mógł przeszkodzić, by go tu na sprzedaż nie powieziono jako jeńca. Nieszczęście stało się; a jeszcze dla mnie znośniejszemby było, gdyby choć jeden i ten sam kupiec nabył mnie i Platona, abym mu służyć mógł i w niewoli, ale czyż można marzyć o tém?... Ach! otóż wiodą go już na sprzedaż! o! bogowie!...

W istocie, równocześnie z tym wykrzykiem starego sługi, rozległ się donośny głos sprzedającego:

— Oto mężczyzna zdrów i silny, lat 40, z profesji filozof,

Ateńczyk Platon, syn Arystona z rodu Kodrusa, krewny Solona!... etc, etc, kto da więcej?...

Stary sługa w głos zajączał ciężkim płaczem, ujrawszy pana swego na platformie owęj, na sprzedaż wystawionego i oglądanego przez kilku kupców na raz, szarpiących go na wszystkie strony, przy śpieszném szczegółowém oglądaniu.

A wtém Aunikerys postąpił żywo naprzód i stając w rzędzie kupców, donośnym głosem zwoił ofiarowaną sumę. Wszyscy spojrzeli na tak hojnego kupca, sługa zdumiony przestał nagle jęczeć i z otwartemi ustami chciwie śledził licytacją. Chwiała się ona i ciągnęła długo, gdyż pewien kupiec Spartanin, uparł się także kupić Platona. Nareszcie przybito targ na sumie ogromnej, podanej przez Aunikerysa, który następnie nabywszy za pomniejszą cenę, szalejącego z radości sługę Platona, uprowadzał obu swych niewolników, z targu. Na wybrzeżu, w miejscu przestronniejszém, gdzie tysiące ocz ciekawych i chciwych, nie śledziło już nabywcy i jego niewolników, zatrzymał się Aunikerys, i roztwierając ramiona, rzekł:

— O! przyjacielu mój, Platonie! ponieważ zapłaciłem za ciebie, a zatem jesteś wolny!

— Ależ przyjacielu, wiem przecież, żeś nie bogaty, a zatem jakże mogę dar taki przyjmować od ciebie! — rzekł Plato.

A na to odpowiedział Aunikerys:

— Przyjm wolność twoją, jako dar odemnie, ponieważ nie wiesz, jak dalece bogaty jestem, mając przyjacielem Platona.

Platon był to jeden z najznakomitszych filozofów greckich.

LISTY Z WARSZAWY.

Dnia 29 Czerwca.

Otóż zdałem, zdałem egzamin! wszystko poszło jak z płatka; dostałem promocją do piątej — ojciec oddał mi zegarek — wszystko w porządku. Jestem tak uradowany, że gdyby to wypadło uściskałbym wszystkich czytelników *Wieczorów* — rozumie się panienki w rączkę, gdyby na to pozwoliły, a kolegów po koleżeńsku. Przedewszystkiém jednak dziękuję tym, którzy się moim losom zainteresowali, zapytując w redakcyi o promocją. Tem śmielej nawet siadłem do gawędy — a co tu materyałów! Bo naturalnie, po zdaniu egzaminu, poszedłem zaraz na wystawę przemysłowo-rolniczą. Ogrom — no powiadam ogrom! Nie wiedzieć w którą udać się stronę i na co patrzeć, bo wszystko zajmuje, wszystko pociąga ku sobie zewnętrzném wykończeniem. Że zaś byłem z wujaszkiem, którego wszystko, co się odnosi do rolnego gospodarstwa, bardzo zajmuje, poszliśmy najpierw obejrzyć zwierzęta i maszyny. Co za konie! no, ja się nie znam, ale mi serce drgało zobaczywszy te dzielne rumaki — każdego chciałbym był dotrzeć i pocwałować na nim, jak Farys. Niestety, ani ja dotrzeć żadnego bym nie mógł, ani by mi nie pozwolono. Skończyło się więc na oglądaniu. Aż oto słyszę wujaszka rozmawiającego z jakimś panami i dowiaduję się, że konie, któremi ja się tak zachwycam, były mniej piękne jak w roku zeszłym. Mój Boże, a one mnie się tak podobały! Jakież tam musiały być lat innych! Lecz zaraz mi wytłumaczono, że tych koni, które były w zeszłym roku, już nie przyprowadzono na wystawę, a inne muszą urosnąć, ażeby mogły się pokazać; że zaś kraj nasz jest za ubogi, żeby miał dużo zbyt kosztownych i kosztownych koni i tęp trzeba się zadowolnić. Po tęp co usłyszałem, miarkowałem już swoje zachwyty; lecz przypatrywałem się uważnie wszystkiemu, słuchając, co mówią starsi. I oto dowiedziałem się, że chów bydła rogatego i owiec, coraz więcej podnosi się w naszym kraju, co mu przyczyni bogactwa. Rozśmieszyły mnie znów niektóre okazy zwierząt, a mianowicie te, które rogów nie mają, a z których szynka bardzo nam smakuje. Jeden z takich okazów nazwano *Sylfidą*, a ona, tak była lekką, że z trudnością podnosić się mogła. Psy również zwróciły moją uwagę. Każdego wielkiego psa byłbym z ochotą wziął na wychowanie i wyobrażałem sobie jakiegobym miał wiernego towarzysza wszystkich

przechadzek podczas wakacji, lecz naturalnie, że żadnego z nich nie dostałem, a jestem przekonany, że te, które zastałem na wsi, również mnie zadowolnią. Najmniej podobały mi się maleńkie pieski, bo to niewiedzieć jaki z tego użytek, a za wsze piszczy w pokoju. Gdyśmy stanęli przed klatkami drobiu, tu już wszystko trzeba było podziwiać. Takie to ładne a takie krzykliwe; tak się cała ta skrzydlata rzesza samochwali, że już chyba moich pochwał nie potrzebuje.

Zaraz po zwiedzeniu wystawy zwierząt, poszliśmy oglądać rozmaite maszyny. Tyle tam rozmaitych zębatych przyrządów do krajania, spulchniania poczciwój naszej ziemi — tyle różnorodnych siewników, młynków opatrzonych kołami i kółkami, że zdumiewać się potrzeba nad umysłem i przemyśłem człowieka, który sobie w pracy tak umie doskonale dopomagać. Maszyny te łączą wystawę rolniczą z przemysłową. Wyrób należy do przemysłu, użytek do roli. Wkroczyliśmy więc w dział przemysłowy. Naprawdę każda rzecz zdumiewa, tęp więcej że obok najdelikatniej wyrobionych przedmiotów, mieliśmy zaraz materyał w stanie rodzimym lub też w najpierwotniejszej przeróbce. I tak, obok delikatnej jak koronka altany z żelaza, była ruda żelazna; obok najpiękniejszych wzorzysto malowanych wyrobów z gliny — glina w takim stanie jak się z ziemi wyjmuje. W jednym zaś pawilonie od razu dla przyjemności zwiedzających wyrabiano rozmaite naczynia z gliny, co mnie bardzo zajęło i zabawiło. Toż samo w warsztatach tkackich można było widzieć, jak z pod ręki zręcznego robotnika wychodziły wstążki i rozmaite tkaniny. Zdaje się, patrząc, że to tylko zabawka — a jednak, przy każdym warsztacie człowiek musi się niemało napracować i namęczyć, nim dojdzie do pewnej umiętności. W dziale drobnego przemysłu, podziwiano wyroby ludu wiejskiego, a ja nie znając ludu i mając wyobrażenie, że wieśniacy umieją tylko orać rolę i nic więcej, aż zapytałem wujaszka, czy to oni mogą mieć czas na takie roboty? I oto dowiedziałem się, że podczas zimy wieśniak doskonale może zajmować się jakimś rzemiosłem, a byleby tylko umiał, to pracę zimową może sobie niemało grosza przysporzyć. A na potwierdzenie tego co mówił, pokazał mi wujaszek śliczne wyroby tak nazwanej *Szkoły parobków* z Podzamcza. Szkoła ta założona przez ojca dzisiejszego właściciela hr. Stanisława Zamoyskiego, a przez niego doprowadzona już do stopnia obecnego rozwoju, przedstawia wyroby tak piękne, że nie powstydzilyby się ich żaden sklep galanteryjny. A co więcej jeszcze starsi synowie i córki hr. Zamoyskiego aby dać z siebie przykład wytrwałości i pracy uboższym braciom, pomieścili tuż obok własne wyroby swoje, tak doskonale wykończone, że im zjednały listy pochwalne. Ach, gdybyśmy więcej mieli takich przykładów! mówił z westchnieniem wujaszek, ach gdyby! o ileżby lepiej było wszystkim! Mówił mi również wujaszek, że teraz coraz to więcej ludzie oświeceni zajmują się tęp, żeby włóścianie uczyli się rzemiosł. A nawet i to powiedział, że pomiędzy młodemi panienkami mieszkającymi na wsi, jest dużo takich, które podczas zimy uczą dziewczęta wiejskie rozmaitych robótek.

Wyszedłszy z pawilonu drobnego przemysłu, zdała zaraz przedstawiła nam się mapa poglądowa królestwa polskiego pani Wójcickiej. Wszyszcymy tam poszli, lecz długo trzeba było czekać, zanim się nam zbliżyć pozwolono. Bo jeżeli wszędzie jest ogromny natłok, to do mapy trudno się docisnąć. Czekaliśmy więc długo, nie odchodząc już nigdzie, lecz cierpliwość nasza wynagrodzoną została. A też to każda cząstka naszego kraju przedstawiona jak na dłoni. Spojrzęć tylko, a już się wie, która okolica w jaki produkt, lub przemysł bogata — gdzie rośnie las piękny, a gdzie przeprowadzono koleje, a w zamian lasu wystawiono fabryki. Tu widzimy kopalnię, a tuż zaraz przeróbki z surowego materyału, jak to nam się przedstawia w gubernii Kieleckiej i części południowej Piotrkowskiój. A prócz tego i lud we właściwym sobie stroju. Słowem patrząc na tę mapę, każdy od razu się dowie, jaka jest ziemia w której stronie kraju — czem zajmuje się lud i jak się ubiera. Ach, żeby to mieć taką mapę. Ale kto wie, ojciec tak ję się przypatrywał, tak rozpytywał, ile kosztuje... Bylibyśmy jeszcze długo przed nią stali, lecz

łaśnie miał być koncert słuchany przez mikrofon, aparat wynaleziony przez Juliana Ochrowicza.

Poszliśmy więc. Nowe dziwo — cud, powiedzianoby sto t temu, a tym cudem ziomek nasz zachwyca świat cały! W pokoiku niewielkim do koła ławki, pośrodku przyrząd mikrofoniczny, nic więcéj — a tam o kilka ulic dalej, ktoś gra b śpiewa i słyszy się tak, jak gdyby grano w tym samym pokoju. Czego też to uczeni nie wymyślą. Lecz ileż to zęba się nam uczyć, żeby chociaż te ich wynalazki zrozumieć!

Po obejściu wystawy byliśmy tak zmęczeni, żeśmy wprost do domu pojechali. Zresztą było już zupełnie ciemno i tylko przy świetle elektryczném przypatrzyłem się wystawie, która wygląda jak wspaniałe przemysłowe miasto, z ulicami przepływającymi na wszystkie strony. A że mieliśmy wkrótce pojechać na wieś, pobiegłem więc nazajutrz rano do ogrodu botanicznego. Byłem ja tam już parę razy, lecz od ostatniej wtności ogród się przyozdobił nowemi okazami. Obecnie zaś przybyły cztery ogromne słonie, tak wyuczone, że za każdy uczeństunek dziękują z całą uprzejmością, na jaką się zdobyć może to olbrzymie zwierzę. Wszystkie też zwierzęta są bardzo oswojone, najzabawniejsze są jednak małpki i niedźwiedzie. Żałowałem tych ostatnich bardzo, bo zaledwie oddać mogą podczas upałów. Wielką mi też zrobiło przyjeżdżenie, że wielbłąda zastałem w lepszym stanie zdrowia, już raz daleko gładszy po wierzchu, nie tak mu sterczą kości weselój spogląda. Biedaczysko, gdy uczuł ciepło, które mu przypomina jego ojczyznę, zaczął do zdrowia przychodzić. Tak oto, niedźwiedzie cierpią, bo im za gorąco — a wielbłąd cieszy się z łaskawych promieni słońca...

Lecz cóż ja robię? za godzinę wyjeżdżamy na wieś, a ja wędzę w najlepsze. Jak to dobrze, że mam zegarek! inąd byłbym się zapóźnił, a tak on mnie ostrzegł!

Do widzenia więc mili czytelnicy, oby wam wszystkim tak dośnio było w téj chwili, jak mnie, gdy wyjeżdżam z promoną i zegarkiem.

Ach, co za rozkosz, wakacye!

Stas.

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

— Dobrze — odpowiedział wódz, a zapytany o rozkazy, odął:

— Bijcie co sił starczy, zabity i ranny przestaje być wrogiem.

Gdy dzień zabłysnął, jeźdźcy skierowali się z wolna ku wzgórzom. Jedni mieli strzelby, inni łuki, a po większej części piki. Postępowali bez żadnego szyku, milcząc i Paweł samowoli pomyślał, że podobnie wyglądać musiały niegdyś te hordy barbarzyńców, które wstrząsały światem rzymskim następnie go zburzyły. Paweł pomyślał przytém, że wódz dyjski, któryby potrafił skupić pod swojemi rozkazami wszystkie pokolenia dzikich, mógłby się stać groźnym dla Stanów Zjednoczonych i Meksyku. Paweł nie domyślał się, że taż sama myśl zajmowała w téjże chwili Otumpę i że ona to właśnie wiodła go do rzeki złotój. Otumpa nagle wstrzymał swoich wojowników. Znajdowano się wśród równiny, na wprost góry wzgórza, a na lewo gęsty las dębowy. Paweł ze swoimi nie zawadzał Otumpę, umieścił się na krańcu prawego brzoźdła małego zastępu. Minno i Wampa, wymalowani na twarzy z grantu, jak mówił Karol, straszliwie wyglądali pod brzoźdłami, które im pomazali sobie twarz i ciała. Tomasz spokojnie opatrywał strzelbę. Karol sam dobrze nie wiedział, co się z nim działo, coś mu ścisnęło serce i gardło, a Tomasz mówił:

— Nigdy ty nie umiesz usiedzieć chwili na miejscu, ale co teraz, to już chyba igłami wypchane masz siodło.

— Ale bo widzisz, ja pierwszy raz w życiu idę na wojnę i sam nie wiem, czy się boję, czy nie?...

— Nie boisz się — zareczył Kanadyjczyk.

— Ja wcale tego pewny nie jestem, bo widzisz, to nie z poczciwem niedźwiedzkiem sprawa, lecz z gromadą obywateli, którzy o ile sądzić można po wczorajszej próbie, gorsi są od wilków, a mimo to...

— Musisz bronić własnego życia, Karolu, nie czas teraz na skrupuły twoje, jakie szczęściem nie dały ci strzelić niegdyś do Nilki; pamiętaj, że mamy ocalić ojca Anzelma.

— To też ja ciągle to sobie powtarzam, aby się rozzłościć.

— Bądź spokojny, kolego, Mokisowie zbliżają się i już oni potrafią cię rozzłościć.

Ze trzydziestu jeźdźców, w rodzaju harcowników, ukazało się w istocie w dolinie, poprzedzając gromadę złożoną z kilkuset dzikich. Przybliżywszy się na paręset metrów do Komanczów, harcownicy zaczęli ich obrzucać obelgami. Karol zdziwił się, że Komanczowie, zamiast oddawać pięknem za nadobne, milczeli jak glazy. Pochyleni na koniach, powstrzymanych w miejscu, z oczyma dziko wlepionemi we wroga, wyglądali jak tygrysy, czatujące na łup. Jeden Mokis wypuścił nagle konia ku Otumpie i strzeliwszy doń z łuku, uciekł na powrót. Drugi uczynił toż samo, a potem, biorąc Pawła na cel, strzelił z broni palnej; Tomasz w téj samej chwili pociągnął za cyngiel i dziki ów padł na ziemię.

Wesoły okrzyk Komanczów i złorzeczenia Mokisów powitały ten początek bitwy. Mokisowie zbliżyli się tłumnie i obrysypali Otumpę pociskami. On zdawał się tego nie spostrzegać, podnosił się na strzemionach, jakby chciał ujrzeć coś w oddali. Minno zniecierpliwiony, nagle postąpił ku wrogom: w pół nagi, pomalowany dziwacznie w czerwone desenie, młynkując strzelbą po nad głową, jak maczugą, wyrzucił gwałtownie cały ładunek obelg na wroga. Dwadzieścia strzał poleciało w zamian ku niemu; on potężnym głosem zanucił pieśń wojenną, a jednocześnie przyłożył strzelbę do oka i znów padł jeden Mokis.

Jakby czekając na to hasło, Otumpa ruszył teraz naprzód. Jego jeźdźcy z nastawionemi pikami skoczyli za nim i runęli na wrogów, jak gromy za swoim wodzem Pioruncem. Strzały z łuków i huk broni palnej, wybuchły ze strony Mokisów, Komanczowie ze swéj strony spadali na nich, obie gromady zmieszały się z sobą. Karol uczuł, że go pochwycono za włosy i ściągano z konia, lecz jednocześnie prawie ujrzał przy sobie Tomasza, a ten go wyswobodził. Rozzłoszczony do ostateczności, zaczął teraz strzelać na prawo i na lewo, jak szalony.

W tém dziki okrzyk rozpaczy ozwał się ze strony Mokisów, którzy już zdumieni trochę gwałtownym i tłumnym napadem Otumpy, co nie jest w obyczajach dzikich, teraz poczuli nagle drugie uderzenie z tyłu: to Nilka z trzydziestu wojownikami, obiegłszy las dębowy, uderzyła z tyłu na wroga; dla tego to Otumpa wyczekiwał z rozpoczęciem bitwy, aby dać czas córce do wykonania tego manewru. W mgnieniu oka Mokisowie rzucili się do ucieczki, rozbiegając na wszystkie strony, przed zwycięzkimi Komanczami. Minno i Wampa pomagali im dzielnie, gonić i przerzedzać wroga, ale Paweł, Karol, Tomasz i Nilka, już nie walczyli, tylko pędzili do stóp pagórków, do obozu Mokisów, w nadziei odszukania tam ojca Anzelma.

Obóz był już opuszczony w przyśpieszonej dzikich ucieczce. Okrzyk, wzywający pomocy, doleciał z daleka i ujrzano dwóch uciekających Mokisów, wlekących misyonarza. Wszyscy skoczyli mu na pomoc, lecz odległość była znaczna. Tomasz poradził na to, bo strzeliwszy dwukrotnie, zranił oba konie Indyan. Ale dzicy, widząc dopędzających, rzucili się z nożami na księdza, aby go zamordować nim pomoc dobieży. Już szeroki nóż zbójcy dotykał gardła misyonarza, gdy potężny cios maczugi z rączki ślicznej bohaterki Nilki, która pierwsza tam dopadła na pysznym rumaku, powalił na ziemię

ZAGADKA (M. Z.).

Zwykło to bywać na naszym wieśniaku,
Wśród panów tego nie bywa ni znaku;
Jednakże wielcy a wielcy panowie
Mają to równie, jak mają królowie.
Bywa to także codziennie na dworze,
Nie na królewskim, lecz tam, gdzie chłop orze.
Czasem o myśli się także to powie,
Czasem się mówi, że bywa tak w głowie,
Lecz w nie zupełnie pochlebném znaczeniu;
Zda się też rzecz ta ku wróbli straszaniu,
Kiedy się znęca do wiśni gromadnie:
Teraz kto zechce, ten może... to zgodnie.

Łamigłówka zegarek.

(Dla Zuzulki z nad Tykicza).

K

Ułożyć w kierunku kropek dwanaście wyrazów pięciogłoskowych, zaczynających się od litery K. Ostatnie litery utworzą imię i przydomek jednego z królów polskich. Znaczenie wyrazów. 1. Zamek starożytny w gub. mińskiej. 2. Zamek pamiętny śmiercią Kiejstuta. 3. Napój zalecany chorym. 4. Podziemna łodyga. 5. Zwierzęta domowe. 6. Miejsce pamiętne pobiciem Tatarów przez Michała Głińskiego. 7. Miasto. 8. Miasto portowe w Europie. 9. Narzędzie muzyczne. 10. Owad. 11. Poczwarzka. 12. Zabezpieczenie okien więziennych.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go.

Łamigłówki głoskowej:

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale.

Wincenty Pol.

Łamigłówki głoskowej:

Jerycho — Azow — Nabot — Mars — Aligator — Tan-
ganika — Eol — Jamajka — Krym — Obłoki.

Jan Matejko i malarstwo.

(d. c. n.)

dzikiego. Paweł, tejże chwili przypadłszy, uderzył drugiego i misjonarz został oswobodzony. Mokisowie uciekali w najwyższym popłochu, jak szaleni, zostawiając czterdziestu zabitych na placu. Otumpa postradał pięciu ludzi zabitych i około dwunastu miał rannych. Wędrowcy nasi, uszczęśliwieni odnalezieniem misjonarza, nie mogli się nim nacieszyć. Ścisłano go, całowano i wypytywano. Dowiedziano się, że Mokisowie nie dręczyli go, ale usiłowali przestraszyć. Przejeżdżając przez plac boju, ujrano zwykłe wśród dzikich następstwa bitwy: dobijano i obdzierano zwyciężonych.

— Fe! obrzydliwa to rzecz ta wojna! — krzyknął Karol.

— Nie skarż-no się, bracie, skoro skalpowania nie widzisz, ponieważ nie jest ono w obyczaju Komanczów! — mruknął Tomasz.

— Wielki Boże! przypominam sobie właśnie, że coś widziałem... czy tylko Minno nie ma tego okropnego zwyczaju?

— Na wojownikach których sam pokonał? Tak jest! I Wampa z przyjemnościąby go naśladował, gdyby nie wzgląd na ojca Anzelma.

— Słabo mi — rzecze Karol — rzucę się w szeregi Komanczów, prosząc, aby przestali się pastwić...

— Nie patrz w tamtą stronę, przyjacielu, pójdźmy oto lepiej na wyrzeże i pomówmy o twojej odwadze, o której tak wątpiłeś...

— Pragnąłbym wymazać z przeszłości godzinę minioną — rzekł Paryżanin.

— Cóż? czy żałujesz, żeś ojca Anzelma ocalił?

— Żałuję ciosów, które w ślepém rozdrażnieniu zadawałem...

— Byłeś w gniewie, bracie i w słusznym gniewie, szło bowiem o twoję czuprynę. Czyliż więc nie zadowolony jesteś z tego, że ta ozdoba twęj głowy nie wisi jeszcze u siodła Mokisa?

— Jestem, jestem zadowolony! i dziękuję ci, drogi Tomaszu, serdecznie za to, że z twojej łaski będę jeszcze używał grzebienia.

— Prędzej czy później odwzajemnisz mi się takąż samą przysługą.

— Zgodzę się pozostać na zawsze twoim dłużnikiem i nie walczyć nigdy już w ten sposób. Mokisowie niesłusznie zatrzymali ojca Anzelma, ale i my niesłusznie zjedliśmy barany Nawajosów.

Powoli, bo obciążeni zdobyczą, mnóstwem łuków, ozdób, strojów, odzienia, powrócili Komanczowie do swego obozowiska. Oprócz broni i to co najważniejsza strzelb kilkunastu, zabrali dwadzieścia koni i drogocenny zapas placków kukurydzowych. Otumpa, zadowolony z tego co zaszło, wybierał się w dalszą podróż, wypytując o drogę dwóch jeńców świeżo schwytanych. Przynęcił im życie, pod warunkiem, że przeprowadzą go z wojownikami, najkrótszą drogą do brzegów większego Kolorado. O południu przeprawiono się przez rzekę; Karol smutnym spojrzeniem pożegnał pobojowisko, po nad którym latały już chmury ptaków krwiożerczych, a wycie wilków łąkowych zbliżało się, rozlegając złowieszczo...

TRZĘŚĆ: Co mogą dwa biedne serduszka (z drzew). — Zniwo wiersz p. Helenę Bojarską. — Dorcia powieść przez Maryą Świdorską (c. d.) — Kukułka (z drzew.) — Księga pamiętnych czynów. — Listy Stasia z Warszawy. — Wyprawa po złoto runo, przygody wędrowców (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Kuracyusze i Horacyusze (z drzew.) — Pomarańcza p. Helenę Bojarską. — Mała ciekawska. — Rozsądny Antoś i drwiący Pawełek. — Kanarek, z angielskiego (c. d.) — Łamigłówka, rozwiązanie. Dodatek książkowy: Mały książę powiastka historyczna przekład z angielskiego miss Yonge.



blady, znużony, ziewający...

Kuracysze i Horacysze.

— Butów! butów! gwałtu, butów! szewc nowych butów nie przynosi, a tu już kufer wynosić trzeba, jedziemy rannym pociągiem! Kasiu! Marysiu! biegnijcie do szewca po buty! Jeżeli szewc śpi, to go wyciągnijcie z łóżka, i kaźcie mu buty moje kończyć; niech drży przedemną i wy wszyscy drżycie, jeżeli mi natychmiast butów nie przyniesiecie! drżycie, bo ja jestem wielki, straszny, waleczny, Kuracysz!

Tak krzyczał Jaś o piątej godzinie rano, biegając pędem po wszystkich pokojach, i nowym biczykiem trzaskając po wszystkich stołach i szafach, aby jak największy odgłos wywolać.

— Mój Jasiu, miej też rozum — rzecz mama — uspokój się, bo z tej wielkiej radości robisz taki hałas, że ja głowę tracę i najpotrzebniejszych rzeczy mogę zapomnieć, a potem będzie bez nich bieda i niewygoda u wód, gdzie nie wszystko jest do kupienia.

— Ale, moja mamusiu, kiedy ten szewc niegodziwiec bu-

tów mi nie przynosi! A buty koniecznie zapakować trzeba, bo bez butów dziwny byłby ze mnie Kuracyusz! Butów! butów, mamusi!

— Mój synku, co ty pleciesz o jakimś Kuracyuszu? Nie słyszałam o żadnym takim dziwie, słyszałam tylko o Kuryjacyuszu, a był to rycerz rzymski bardzo mężny, nic a nic do krzykliwego malca nie podobny, więc jakże ty możesz przezywać się Kuryjacyuszem?

— Ale jakże, proszę mamy! nie wiem nic o tamtym rzymskim Kuryjacyuszu, choć zdaje mi się, że coś słyszałam, ale przecież, skoro jadę na *kuracyą* do wód, to jestem *Kuracyusz*! A ten niegodziwiec szewc próżniak, butów mi nie przynosi! Gwałtu, butów!

— Jasiu — rzecze ojciec, wychodząc ze swego pokoju — pójdz ze mną, do szewca spytać o swoje buty; bo służące są mamie potrzebne i iść nie mają czasu, a dobrze, że i mama spokojniejszą będzie miała głowę przy pakowaniu, gdy ty hałasować przestaniesz.

I wzięwszy skaczącego chłopczyka za rękę, ojciec wyszedł z nim na ulicę. Szli niedaleko, tylko do trzeciego domu, gdzie w oficynie w podwórzu mieszkał szewc, który oddawna robił buty ojcu i Jasiowi. Nie wchodząc wcale do domku, ojciec poszedł prosto do niskiego okna, uchylonego trochę i założonego *na żelazo* tylko, bo tak było widać zostawione przez całą noc dla świeżego powietrza.

Jaś i ojciec spojrzeli przez to okno, ale szyby takie były brudne, że wyglądały nieledwie jak blaszane, i nic przez nie nie było widać. Włożył więc ojciec swoją laskę pomiędzy dwie połowy okna, podniósł nią żelazo, zamykające je, i okno roztworzył jak szeroko, a wtedy zdumionym oczom Jasia, który tu jeszcze nigdy nie był, przedstawił się dziwny *żywy obraz*, jakiego chłopczyka nie widział w życiu, chociaż już w teatrze różne żywe obrazy nieraz widywał. W izbie sporój, ale zarzuconej mnóstwem przeróżnych sprzętów i narzędzi, w największym nieładzie, wśród śmieci, brudu, skór, szkaradnie woniących, butelek użytych do wody zamiast karafki, garnków z obrzydliwą smołą i t. p. dziwnych rzeczy, stało nędzne łóżko, ledwo narzucone ubogą derką, a z łóżka tego wstawał szewcki terminator, taki znużony, blade, rozespany, ziewający, że aż przykro było patrzeć na niego, a przed nim leżały gotowe lecz jeszcze nie wyczyszczone buty Jasia, które on miał teraz czyścić, a z wielkiego znużenia zaledwo mógł się poruszać.

— Przypatrz się, Jasiu, temu żywemu obrazowi biedy i pracy — rzekł ojciec — wyznaj, że jeżeli ty możesz nazywać się Kuracyuszem, ponieważ na *kuracyę* jedziesz, to ten terminator powinienby jeszcze śluszniej *Horacyuszem* być nazwany, gdyż na *chorego* wygląda i jest nim zapewne, a jednak, trzyma się jak może. Dokończył on w nocy swoich butów, bo oto lampka tli się jeszcze, a teraz zaledwie ma siły wstać z łóżka, aby je wyczyścić i tobie odnieść, i z pewnością nie uwierzyłyby, choćbym mu powiedział, ile ty go razy dzisiaj niegodziwcem i próżniakiem nazwałaś.

Jaś zaczerwienił się, jak burak, na te słowa ojca i rzekł po chwili:

— Już nigdy, proszę ojca, brzydkiego słowa na nikogo nie powiem. Mnie nawet do głowy nie przyszło, jacy to są biedni chłopcy na świecie i jaki ja szczęśliwy jestem... — a mówiąc to, Jaś czulój niż zwykle rękę ojca ucałował.

W wagonie wszyscy drzemali po trochę, bo bardzo ranitko powstawali, ojciec tylko pisał coś ołówkiem w pugilaresie. Wreszcie wydarł z niego kartkę i podał ją z uśmiechem Jasiowi, a ten czytał następujący wierszyk, ułożony naprędce przez ojca:

Czy wy wiecie, dziatki drogie,
Co to znaczy praca?
Wy, dla których życie błogie
Ojców trud wyłacza?

Czy wy wiecie, że do pracy
Trzeba wstać przed świtem,
Wprzódy jeszcze, niżli ptacy,
I nie dojeść przytém?

Niechaj patrzy Jaś amator
Tańca i biegania,
Jak to szewcki terminator
Dźwiga się z posłania:

Straszny nieład naokoło,
Bo pracował w nocy,
Ziewa tak, aż marszczy czoło,
Powstać nie ma mocy.

Ale przecież wstać się zmusza,
Bo bucików trzeba
Dla Jasiénka *kuracyusza*,
A dla szewca chleba.

Kryształowe stoją banie,
Przy lampce niewielkiej,
Barłóg służy za posłanie,
Przy nim pantofelki...

Butla z wodą jest przy stołku,
A pod łóżkiem smoła,
Surdut wisi tam na kołku,
Śmiecie dookoła:

Terminator chory, blade,
Ledwo że się rusza,
Lecz wstać trzeba, niema rady
Dlań, dla *horacyusza*.

POMARAŃCZA.

Jadzia i Tola bawiły się w swoim pokoiku, wtém weszła mama, trzymając w ręku słiczną pomarańczę i rzekła:

— Masz, Jadwiniu, na deser po obiedzie, pewnie to lubisz?

— Dziękuję mamusi, bardzo dziękuję, a dla Toli czy także będzie?

— O nie, moje dziecko, Tola była dziś niegrzeczną od samego rana, nie dała się ubrać, nie nauczyła się bajeczki, dąsała się i grymasiła, nie zasługuję więc na pomarańczę, bo przysmaczki dają się tylko grzecznym dzieciom.

— A czy mogę, mateczko, dać jój choć połówkę od siebie?

— Nie, nie, proszę cię, ani ćwiarteczki, musi być ukaraną, kiedy na to zasłużyła.

Tola poczęła rzewnie płakać, ale mama, nie zważając na to, wyszła z pokoju. Jadzia chciała siostrę uspokoić, ale jój się nie udało, Tola płakała i płakała, nareszcie, rzuciwszy gniewne spojrzenie, wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami. Jadzia tymczasem, nie napocząwszy nawet swojej pomarańczy, schowała ją do stolika a następnie zaczęła uczyć się lekcji na dzień następny.

Niezadługo wróciła Tola, troszkę już udobruchana, a widząc siostrę nad książką, poszła też za jój przykładem i zabrała się do nauki; wkrótce ostatnie chmurki znikły z jój czoła i z wesołą minką rzekła do Jadzi:

— Ach! jak ja się dobrze nauczyłam lekcji na jutro, pewnie mamusia będzie ze mnie zadowolona, o! musi mnie pochwalić!

— Jeżeli chcesz zrobić mamie przyjemność, to powinnaś być grzeczną we wszystkich, bo gdybyś znów robiła takie awantury przy ubieraniu jak dziś, to nawet wybornie wyuczona lekcya nie zdołałaby ucieszyć mamy.

— Ha! zobaczysz, jak to jutro będzie.

Na drugi dzień Tola bardzo była greczna przy ubieraniu się, a gdy zjedzono śniadanie, poczęła przypominać mamie o lekcji; pisała i czytała bardzo uważnie, a gdy przyszło do wydania wierszyków, wypowiedziała wszystko bez najmniejszej zmyłki.

— Jakoś dobrze zaczął się dzień dzisiejszy, czy aby dalej tak pójdzie? — zapytała mama.

— O! tak, mateczko, postanowiłam sobie, że dziś będę bardzo grzeczną.

— Jest to dobre postanowienie, ale powinnaś je zrobić nie na dzień jeden lecz na zawsze.

— To też jak mi się dziś uda, to postaram się o to jutro, potem pojutrze i tak codziennie będę grzeczną.

— Zawsze ci się uda być grzeczną i pilną, jeżeli postarasz się o to, tak jak dziś.

— A czy mamunia pozwoli dziś dać Toli połowę pomarańczy? — zapytała Jadzia.

— Jakto? toś ty jej jeszcze nie zjadła?

— Nie; sama nie lubię jeść a Toli nie mogłam dać wczoraj.

— Dobra z ciebie siostra, moja Jadwiniu, ciesz się, żeś tak postąpiła, dziś już możesz się z Tolą podzielić pomarańczką a prócz tego dostaniecie po obiedzie po ślicznym jabłuszku, boście dziś obie zasłużyły. Dziewczynki ucieszyły się bardzo z pochwały mamy i postanowiły sobie, nie zasmucać jej nigdy niegrzecznym postępowaniem, lecz przynosić tylko pociechę i szczęście.

Helena Bojarska.

MAŁA CIEKAWSKA.

Mania była dobrą dziewczynką. Kochała bardzo matkę, a była jedyną jej pociechą, po śmierci ojca. Miłosierna, pracowita, obok tych wszystkich przymiotów miała jednak jedną brzydką wadę, a mianowicie: była nazbyt ciekawa. Dla tego to w sąsiedztwie nikt jej nie lubił. Matka Mani zajmowała się szyciem, często też przychodziły do niej panie, które kazały sobie robić suknie, a nie chcąc, by Mania opowiadała w sąsiedztwie o ich obstalunkach, oddały ją z pokoju. To się nie podobało małej ciekawskiej i ile razy ją odsyłano do drugiego pokoju, przysuwała się do drzwi, by słowa z rozmowy nie stracić.

Wkrótce matka spostrzegła, że córka jej podsłuchuje i bardzo się zmartwiła, bo czuła, że jeżeli Mania się nie poprawi, będzie nie lubianą przez wszystkich. To też starała się jej wytłumaczyć, że podsłuchiwać cudze tajemnice, jest to samo, co ukraść ludziom pieniądze, bo tajemnice tak samo należą do ludzi, jak i pieniądze. Mania chodziła też do sąsiadów, dowiadując się o ich zajęciach i bardzo często była źle przyjmowana. Wtedy wracała smutna do domu i przyrzekała sobie, że się poprawi, lecz wkrótce zapominała o upokorzeniach, które znosiła i zaczynała szpiegować dalej.

Pewnego dnia, wszedł jakiś pan do szwaczki, chcąc się z nią rozmówić. Żądał, by zrobiła ładną suknię dla jego żony, dla której to miało być niespodzianką. Wydalono więc z pokoju Manię, z czego była wielce niezadowolona. Gdy znalazła się samą w pracowni, bo robotnice chodziły zwykle o tym czasie na obiad, przybliżyła się cichutko do drzwi, by usłyszeć rozmowę. Lecz ów pan niebawem spostrzegł, że drzwi były uchylone i podniósł się, by je zamknąć. Zaledwie jednak pociągnął za klamkę, dał się słyszeć krzyk straszny z drugiego pokoju. Gdy szwaczka wbiegła do pracowni, ujrzała córkę swą leżącą bez przytomności na podłodze. Mania bowiem włożyła paluszek pomiędzy drzwi i gdy pan je chciał zamknąć, przygniół go okropnie. Wezwano zaraz lekarza, dziewczynka cierpiała długo, a palec zgoił się dopiero po trzech miesiącach.

Ta nauczka wyleczyła ją z błędu, gdyż ile razy brała ją chętka być ciekawą, wnet spoglądała na swój palec, krótszy od innych i odpadała jej chętka do tego. Od tej pory pomagała w domu matce, nie opiekowała się cudzemi sprawami i przez to zjednała sobie miłość powszechną. Mania czuła się tak szczęśliwą, że dziękowała niejednokrotnie Bogu, za ten wypadek, który ją poprawił, chociaż kara była sroga, wszakże lepiej było ją znieść, by się wyleczyć z brzydkiej wady na zawsze.

Rozsądny Antos i drwiący Pawełek.

Antos i Dorotka bawili się grecznie, tuż pod kasztanem koło otwartego okna od pokoju, w którym ojciec leżał słaby, wprowadziwszy się tam na letnie mieszkanie.

— Tsst!... Antosiu! — mówiła co chwila Dorotka — nie krzycz tak głośno, bo może ojciec się przestraszyć, jeżeli drzemie.

I na te słowa Dorotki, Antos, chociaż wielki zawadyaka przecież zaraz uspokajał się i daleko ciszej niż wprzód opowiadał jej dalszy ciąg swoich strasznych przygód na lądzie i na morzu, jakich doznawać zamierzał, gdy dorośnie i zostanie wielkim podróżnikiem, marynarzem, porucznikiem, a następnie i kapitanem okrętu. A to swego własnego, prześlucznego okrętu, takiego chyżego, jak koń wycigowy, na którym miał popłynąć na morze północne Lodowate, aby łowić wieloryby i na morze południowe Lodowate, tam precz na jego kraniec, aby sprawdzić, co też to tam jest? Czy nie ma tam naprawdę szóstą część świata, o jakiej coś tam ludzie przebąkują, chociaż wcale jeszcze jej nie widzieli i nie wiedzą, czem ona może być w istocie.

— Tsst! Antosiu! — powtarzała coraz częściej Dorotka, w miarę jak chłopczyk wpadał w zapał i chociaż ją samą bawiła jego gawęda, bo Antos nie żartem zajmował się geografją i podróżami i tysiące rzeczy ciekawych umiał o tém opowiadać.

Naprawdę pałał on żądzą podróżowania, chociaż wcale nie wybierał się w podróż przed ukończeniem nauk, których, dobrze wiedział, że nie przeszedł jeszcze ani trzeciej części. Poświęcał on zazwyczaj wakacje na ulubioną sobie literaturę podróżniczą i zagłębiał się w książkach, leżąc gdzie bądź na trawie w lesie czy w sadzie, gdy tymczasem Dorotka pomagała matce w pilnowaniu chorego ojca. A dopiero gdy matka kazała znużonej dziewczynce koniecznie wyjść i z parą godzin chociaż swobodnie używać świeżego powietrza, Dorotka biegła do ogrodu i na płocie, na wysokości żerdzi, wieszala wysoko czerwoną niedużą chusteczkę. Antos, gdziekolwiek był, zawsze tak się umieszczał, aby mógł z daleka znak ten zobaczyć, spoglądał często ku niemu, a zobaczywszy go, natychmiast zamykał książkę, biegł do siostry i zabawił ją znużoną, opowiadając jej, co sam dopiero czytał, albo głośno rojąc o swych podróżniczych zamysłach i zcisząc nagle zapalczą mowę, gdy zawsze uważna Dorotka powiedziała:

— Ciszéj, ciszéj, Antosiu!

Wtém głośny śmiech rozległ się za płotem.

— Z czegoż to się tak śmiejesz, Pawełku? — spytał Antos, spojrzawszy tam i poznavszy swego krewnego i towarzysza.

— Śmieję się z ciebie — odpowiedział — gdy zabierają się do tak walecznych czynów, o jakich mówisz, nagle poskramasz swój zapał i cichniesz, jak baranek, na jedno zalecenie małej dziewczynki, słabiuchnej twojej siostrzyczki; tęgi mi z ciebie bohater!

Antos popatrzał na Pawełka, wzruszył ramionami i odpowiedział spokojnie:

— Wiedz i pamiętaj o tém, mój krewniaczku, że prawdziwa siła i rozum prawdziwy nie wstydzi się nigdy ulegać słabszym, gdy ci słuszność mają po sobie.

I odwróciwszy się, Antos dalej bawił się, opowiadając siostrze swe zamysły.

KANAREK

Z ANGIELSKIEGO PRZEZ L. T.

(Dalszy ciąg).

Brownowa podała go Natalci, następnie wsadziła dziewczynkę na wózek i pchając go przed sobą, podążyła ku domowi.

ROZDZIAŁ VI.

Mieszkanie Brownowej składało się z izdebki odnajmowanej od starego Kinga ogrodnika i żony jego.

Byli to poczciwi ludzie, ale i oni także byli bardzo, bardzo biedni; to co zarobili, wystarczało im zaledwie na życie i odzienie, nie mogli więc pomagać Brownowej, choć jestem pewna, że gdyby byli bogaci, z pewnością by to uczynili.

King dostarczał Brownowej owoców i jarzyn, które sprzedawała na mieście; rosły one w jego ogródku, lepsze sam sprzedawał na targu, gorsze ustępował swój lokatorce, za bardzo niską cenę.

Ponieważ jego najlepsze jarzyny, weale dobrymi nie były, można sobie wystawić, jak wyglądały te, które sprzedawał Brownowej; że zaś biedną kobietę nie stać było na nic lepszego, musiała się niemi zadawać, tembardziej, że stary King chętnie czekał dłużej na pieniądze, gdy, co się często zdarzało, Brownowa nie wiele przez dzień zarobiła.

W ogródku była stara szopa, gdzie King trzymał swoje narzędzia i gdzie pozwalał Brownowej chować na noc wózek.

Ta stara szopa była ulubionym miejscem zabaw Natalki, a ta zarówno była w niej szczęśliwa, jak Edyta w swoim pięknym ogródku.

Jak widzicie i Edyta i Natalcia były jedynaczkami i obie nie miały nawet pojęcia o zabawie z innymi dziećmi.

Ponieważ Natalcia tak często przebywała w tej szopie, przypominała sobie z łatwością o stariej, połamaniej klatce, wiszącej tam od niepamiętnych czasów; często dziewczynka z zajęciem przyglądała się pająkom sującym sieci między przęcikami.

Klatka ta należała dawniej do ojca Natalci, rybaka, który przed kilku laty utonął w morzu podczas burzliwej nocy. Trzymał on w niej srokę, ale ta zdechła wkrótce po śmierci swego pana.

Brownowa, wróciwszy do domu, położyła dziewczynkę na łóżku, a czyniąc zadość jej usilnym prośbom, poszła po klatkę.

Szopa była tak ciemną, że kobieta z trudnością odnalazła klatkę; przyniosła ją do domu, a oczyściwszy, z radością spostrzegła, że była cała.

— Lepsza jest niż myślałam — rzekła, pokazując ją Natalci.

Dziewczynka ucieszyła się na ten widok, była jednak zbyt osłabiona, by mogła mówić.

Brownowa wyjęła Pipa z fartuszka Natalki, gdzie siedział, i gdzie mu pewno nie było zbyt wygodnie, bo zdawał się bardzo uradowany, gdy się dostał do obszerniej klatki, skakał po przęcikach, świergocząc wesoło.

Brownowa postawiła klatkę tak, żeby Natalcia mogła ją zobaczyć, dała Pipowi wody i sałaty; następnie rozebrała dziewczynkę.

— Możebyś się napiła mleka i zjadła kawałek chleba? — spytała, kładąc dziecko na łóżku.

Natalcia skinęła główką.

— Pójdę po nie, a tymczasem popatrz sobie na ptaszka.

Ale gdy wróciła, Natalcia była zbyt chorą, by mogła jeść, skosztowała zaledwo mleka, chleba nawet nie tknęła.

Leżała na poduszce z zamkniętymi oczkami, mówiąc, że jest śpiąca.

— To wypijesz mleko, jak się obudzisz; — rzekła matka i chciała wynieść Pipa, żeby nie budził Natalki, lecz w chwili, gdy wzięła klatkę do ręki, dziewczynka spojrzała na nią tak błagającym wzrokiem, że kobiecina zostawiła ptaszka.

Pip sprawiał się bardzo dobrze; siedział cicho nie otwierając nawet dzióbka. W izdebce było ciemno, myślał więc, że to noc, schował łebek pod skrzydełko i zasnął.

Natalcia nie spała tak dobrze jak jej ptaszek, kasłała i przewracała się przez całą noc, a rano była tak chorą, że aż matka prosiła Kinga by sprowadził lekarza.

Doktor nadszedł i powiedział, że Natalcia jest bardzo chora i długo będzie musiała leżeć w łóżeczku.

Mówił, że przyczyną jej choroby było zmęczenie i brak dobrego pożywienia.

Teraz, przez jaki tydzień, lub dziesięć dni, musi zachować dyetę, ale później, gdy jej będzie lepiej, trzeba jej będzie dać wać rosół, mleko i wino.

Biedna Brownowa! Długo jeszcze po odejściu doktora, siedziała myśląc smutnie o tém, co jej czynić wypada. Nie będzie mogła odstąpić chorego dziecka, a z kąd weźmie pieniędzy na lekarstwa, rosół i wino? Otworzyła książkę do nabożeństwa, a wzrok jej padł na słowa: „Nie smućcie się więc, mówiąc: czém zaspokoimy głód i pragnienie, czém ciało nasze okryjemy? albowiem Ojciec niebieski zna wasze potrzeby”...

Oczy jej napełniły się łzami, zdawało jej się, że Bóg sam obiecuje jej pomoc i opiekę.

Chciała czytać dalej, bo potrzebowała pociechy, lecz w pokoju było ciemno, zbliżyła się więc do okna.

„Spójrzycie na ptaki powietrzne, one nie orzą, nie sieją i nie zbierają, a jednak Ojciec niebieski żywi je”. Podniosła firankę, żeby widzieć lepiej; promień słońca wpadł do pokoju, a Pip uradowany, zaczął śpiewać. Brownowa uważała śpiew jego za hymn dziękczynny. Pip był przecież „ptakiem powietrznym”, nie siał i nie zbierał, a jednak znalazł opiekę i pożywienie.

Biedną kobietę pocieszała myśl, że jeśli ptaszek nie zginął, to i jej może pan Bóg nie opuści.

„Dlaczegożby miał o was zapomnieć?” czytała, spoglądając na dziecko.

Miała teraz nadzieję, że Pan Bóg jej dopomoże, a myśl ta dodawała jej siły do zanoszenia zmartwień i przeciwności. Słowa wycytane i śpiew ptaszka pocieszyły ją. Gdy podczas długiej choroby Natalki ogarniał matkę smutek i zniechęcenie, spoglądała na Pipa i przypominała sobie słowa: „A jednak wasz Ojciec niebieski żywi je; dlaczegożby miał o was zapomnieć?”

Dzień za dniem przechodził w małej, ciemnej izdebce, Natalcia ciągle leżała, a jej biedna matka siedziała przy niej, wyczekując polepszenia z niepokojem.

Pip skakał w klatce, a myśląc ciągle, że to noc, spał prawie ciągle. Żywił się tylko sałatą i muchotrzepem i z dniem każdym stawał się szczuplejszym.

Udzień woźny przechodził po ulicach Folkestone wołając, że kanarek :

Zginął!
Zginął!!
Zginął!!!

I codzień także, Edyta z niecierpliwością wyczekiwała wiadomości o swoim ulubieńcu.

(d. c. n.)

Łamigłówka w kwadraciku.

(Od Różyczki dla Jasia z Wierzbicy).

W kwadraciku z 9 podziałek umieścić: 4 O — 3 K — 1 N — 1 R — aby utworzyć w obu kierunkach: 1. Przeciąg czasu. 2. Narzędzie zmysłu. 3. Zwierzę domowe.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 27-go.

Zadania konikowego:

Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada,